

Dwutygodnik ilustrowany, poświęcony myślistwu, broni i hodowli psów myśliwskich.

Ogólnego zbioru Nr. 153.

№ 9. Warszawa, 1 maja (18 kwietnia) 1905 r. Rok VII.

Warunki prenumeraty i ogłoszeń na ostatniej stronie.



Nad brzegiem.

PRAWO ŁOWIECKIE W POLSCE

w wiekach średnich[1]).

Do niedawna o historyi łowiectwa i prawie łowieckiem mieliśmy zaledwie kilka wiadomości, porozrzucanych po encyklopedycznych wydawnictwach, a traktowano w nich łowiectwo prawie wyłącznie z jego strony obyczajowej. Prawo polowania doczekało się dopiero przed kilku laty osobno poświęconej mu rozprawki Stanisława Henryka Badeniego[2]) — mimo to jednak podjąłem niniejszą pracę, o tym samym przedmiocie traktującą, nie uważam bowiem, by autor poprzedniej pracy o łowiectwie wyczerpał wszystko, co się o tem na podstawie źródeł dziejowych da powiedzieć. Zresztą nie zawsze mogę się zgodzić z hr. Badenim i odmienne od osiągniętych przez niego wyniki mych badań źrodłowych, zachęcają mię do ogłoszenia tej pracy.

Wydane dotychczas dyplomataryusze, przedstawiają na pozór bardzo bogaty materyał do historyi prawa łowieckiego w Polsce. Ilościowo liczne, zawarte w nich wiadomości, są jednakże w istocie dosyć szczupłe; dokumenta bowiem zawierają najczęściej gołosłowne tylko, acz liczne wzmianki, podające jakąś techniczną nazwę łacińską lub polską, do łowiectwa odnoszącą się, i na tem się ograniczają. Dlatego musiałem nieraz przywoływać sobie do pomocy przyrodnicze raczej i myśliwskie wiadomości dla wyjaśnienia rzeczy prawnych.

Najobfitszy materyał źródłowy odnosi się do stosunków wieku XII i XIII, a wyciągnięty został głównie z przywilejów lokacyjnych, na tej też części pracy, o czasach tych traktującej, spoczywa jej punkt ciężkości. Późniejsze czasy mniej już dają materyału do obrobienia i im bliżej czasów nowożytnych, tem mniej stosunkowo spotykamy wzmianek o łowiectwie, zwłaszcza w stosunku do rosnącego ogromnie bogactwa materyału źródłowego, które stoi wprost w odwrotnym stosunku do ilości zawartych w źródłach, wiadomości o łowiectwie i prawie łowieckiem w Polsce.

Zupełnie inne, niż dziś, stanowisko zajmowało dawne łowiectwo. Odmienne ówczesne stosunki powodowały, że w zamierzchłej przeszłości dziejowej, nie mówiąc już o czasach pierwotnych— łowiectwo przez cały czas wieków średnich jeszcze, w społeczeństwie i gospodarstwie miało wybitne znaczenie.

W dzikich, pierwotnych czasach ludzkości, gdy człowiek sam sobie i własnym siłom bez żadnych jeszcze kulturnych zasobów jest oddany, — łowiectwo dla niego jest poprostu walką o byt z otaczającą go przyrodą. Walczy on tu, prócz o pożywienie, także o życie własne przeciw zwierzowi, występującemu do walki z nim częstokroć agresywnie. W tych warunkach jedynie silniejszemi, umysłowemi zdolnościami wywalczając sobie prawo bytu, zdobywa wkrótce panowanie nad przyrodą. Do dziś dnia mamy ludy na nizkim stopniu rozwoju, oddane jedynie łowiectwu, które wszelkie ich potrzeby zaspakaja. Łowiectwo wogóle w pierwotnych czasach gra wybitną rolę, a życie wyłącznie łowieckie jest jednym z najniższych stopni, przez który, każdy lud w kulturnym swym rozwoju, z pierwotnego stanu wychodząc, przejść musi, jako wskazany warunkami naturalnemi, etap.

W dalszym jednak rozwoju pierwotnego społeczeństwa, występuje na pierwszy plan, stopniowo z łowiectwa wyszły i przez nie powstały chów bydła, a wreszcie uprawa roli w różnych swych fazach. Łowiectwo schodzi na drugi plan, niemniej jednak ważne jeszcze zajmuje w gospodarstwie miejsce.

Polska średniowieczna przedstawiała się, jako kraj lesisty, poprzerzynany licznemi strumieniami, w wielu miejscach podmokły i bagnisty. Kultura rolna zrzadka tylko przerywała nielicznemi oazami ten nieprzejrzany, dziewiczy bór, a intensywniejsza uprawa roli była dopiero dziełem kolonizacyi niemieckiej. Teren taki nadawał się znakomicie, jako schronisko i przybytek licznej i różnorodnej zwierzyny, z której też Polska słynęła.

Dość wspomnieć tura i żubra, częstych wówczas jej mieszkańców, a tak charakterystycznych dla ówczesnej naszej fauny. Żubr był powszechną zwierzy-

[1]) Praca ta drukowaną była w „Przewodniku naukowym i literackim" r. 1904, a obecnie ukazała się w „Łowcu", wychodzącym we Lwowie.

[2]) „Przewodnik naukowy i literacki" z r. 1896, str. 544. O łowiectwie polskim w czasach piastowskich.

Z POLOWAŃ

w Ameryce Południowej.

II.

Jaguar i puma.

(Ciąg dalszy).

Znajomy mój wystrzelał resztę nabojów rewolwerowych, lecz chybił wszystkie, znalazłszy się tym sposobem w najkrytyczniejszem położeniu wobec rozjuszonego zwierza, na wątłej łodzi, z żoną i dwojgiem dzieci, nie mając, oprócz wioseł, żadnej innej broni. Na szczęście jaguar zmęczony zręcznem manewrowaniem sternika i upływem krwi, po kwadransie czasu odpłynął ku brzegowi, zostawiając nieszczęśliwym podróżnym swobodny przejazd.

Jaguar przepływa widocznie czasami bardzo szerokie rzeki, gdyż kapitan brazylijskiego statku „Manoos", na którym spuściłem się Amazonką z Yurimaguas do Para, opowiadał mi, że w jednej ze swych podróży napotkał jaguara, przepływającego królowę rzek świata. Kapitan kazał skierować parowiec na jaguara, lecz ten, znajdując się już blizko brzegu, zdołał nań wskoczyć i skrył się w gąszczu.

Te osoby, które pierś z piersią walczyły z jaguarem, zapewniały mnie, że rozjątrzony, wydaje z paszczy nadzwyczaj przenikliwy, ostry odór, przypominający woń palącego się pieprzu tureckiego.

Wszyscy, podróżujący rzekami systemu Amazonki, wożą z sobą lekkie namioty z muszlinu lub perkalu, chroniące od moskitów i komarów podczas noclegów, spędzanych pod gołem niebem. Wiele osób zapewniało mnie, a między innemi p. Ludwik Sisley (pseudonim), warszawianin, który od lat trzydziestu blizko podróżował nieustannie między Moyobambą a Tabatingą, że jaguar nie napastuje nigdy osoby, śpiącej w takim namiocie, a to wskutek niepewności, gdzie się znajduje głowa, a gdzie nogi, gdyż drapieżnik ten zawsze rzuca się na głowę. Obserwacye moje, czynione nad chowanym ocelotem[1]), i sposób, w jaki zwierz ten atakuje ptactwo domowe, mniemanie to zupełnie potwierdzają.

Jaguar, nawet oślepiony, odwagi nie traci. Przyjaciel mój, p. Roca, portugalczyk, osiadły w Yurimaguas, opowiedział mi zdarzenie następujące, a wierzyć mu mogłem, gdyż miał famę najsławniejszego pogromcy jaguarów w okolicy i niejednego już z tych

[1]) Ocelot — gatunek dzikiego kota, podobnie cętkowany, jak jaguar, tylko odeń znacznie mniejszy.

ną na całym obszarze Polski, rzadszy zaś tur, zdaje się, przebywał głównie na Mazowszu, a fantazya naszych przodków stroiła tego leśnego olbrzyma w opowieściach, w jakiś niemal nadnaturalny urok. Słowa zaś dokumentu przyrównują go do starożytnego centaura [1].

Dr. Tadeusz Mańkowski.

(*C. d. n.*).

[1] Centauris seu bobulis vulgaliter Thur... exceptis. Kodex mazowiecki CXCVI.

Projekt nowego Prawa Myśliwskiego.

(*Ciąg dalszy*).

Drapieżniki wszelkiego rodzaju nowe prawo pozwala tępić wszędzie i zawsze wszelkiemi sposobami— i słusznie. Niestety, jednak do tej kategoryi zaliczony został i dzik.

W kwestyi drapieżników i dzika odstępujemy tu głosu p. Paszkowskiemu, który w referacie Komisyi traktuje tę sprawę szerzej w następujących słowach:

„Art. 173 bardzo ważny: decyduje on o losie licznych gatunków, uznanych za drapieżne. Dla wielu z nich, nieposiadających szczególnej siły odpornej i zdolności przystosowania się do zmienionych warunków istnienia, ryczałtowe tępienie, dozwolone prawem, stanie się przyczyną nieuniknionej zagłady. Człowiek ma moc niszczenia wszystkiego, co dlań szkodliwe, nie należy jednak zapominać, że i drapieżniki podtrzymują ogólną równowagę w przyrodzie, jakkolwiek, naturalnie, w krajach kulturalnych rolę tę spełnia ręka ludzka. Niemniej jednakże myśl o zubożeniu naszej fauny rodzi żal w duszy myśliwca, którego charakterystycznym rysem jest namiętne umiłowanie natury. Bez wątpienia Komisya (projektodawcza) ma zupełną racyę i jej wykaz (drapieżników) ugruntowany jest na ostatnich badaniach przyrodoznawstwa. Ale jakże tu nie żałować takiego sobola i gronostaja —tych źródeł dobrobytu mieszkańców odległej północy, tembardziej, że w tamtejszych, nieprzejrzanych borach szkody, zrządzane przez te zwierzęta, są mniej dotkliwe w porównaniu z korzyściami, jakie one przynoszą.

„Dla nas szczególnie przykro usłyszeć wyrok, skazujący na zagładę dzika, tę ozdobę i okrasę naszych lasów, to źródło rozkoszy myśliwego. Prawda, że dziki mogą czynić i istotnie czynią szkody w polach, ale głównie wtedy, gdy się gnieżdżą w niewielkich lasach. Zamieszkując w obszernych i różnolitych, pod względem zadrzewienia, kniejach, zwłaszcza liściastych, tam, gdzie rośnie dąb i buk, dziki znajdują w lesie dość pożywienia i nie tak chętnie wychodzą w pole. Wszak jeleń, korzystający z najstaranniejszej ochrony, czyni daleko większe szkody w polu, aniżeli dzik. Wreszcie nie należy zapominać, że dzik niszczy mnóstwo liszek i zalążków szkodliwych owadów, z czego płynie znakomita korzyść dla leśnictwa.

„To też gorącą wnosimy instancyę o wykluczenie dzika z liczby drapieżników i zaliczenie go do zwierzyny, podlegającej ochronie. A w każdym razie kwestyę tę należałoby szczegółowo roztrząsnąć".

Powyższa obrona szkodników opiera się głównie na sentymencie myśliwskim, ale jeżeli Paweł Hervieu żąda uwzględnienia pierwiastku „miłości" w prawie o małżeństwie—i o tem mówi się i pisze na seryo — to tembardziej sentyment myśliwski mógłby również znaleźć uwzględnienie w prawie łowieckiem. *Dura lex* orzeka, że szkodniki dla dobra ludzkiego tępić należy i jeżeli dzik jest istotnie szkodliwy, ochraniany być nie powinien. Że dzik jest szkodnikiem w polu i w lesie, że jest nawet wrogiem kulturalnej zwierzyny, to rzecz stwierdzona i prawdziwa. Ale jeżeli niemniejszy szkodnik naszych pól i lasów—jeleń—znalazł tak bezwzględną ochronę w prawie, to i w sprawie dzika wolno apelować od wyroku stanowczej zagłady. Trudna to wprawdzie i zawiła do rozstrzygnięcia sprawa. Jeśli zamieszkane przez dziki knieje, otoczone są polami, należącemi do jednego myślistwa, kwestya upada. Właścicielowi tych obszarów wolno dziki tępić lub nie, a jeżeli szkody czynić będą, sam on się z nie

---

szkodników trupem położył. Pewnego razu przydybał on w gąszczu jaguara, a strzeliwszy doń sarniakiem, wybił mu oba oczy. Osaczony przez dwa psy, towarzyszące naszemu myśliwemu, zaczął je szarpać, co widząc Roca, krzyknął, w nadziei, że jaguar psy puści. Prawda, że je puścił na ten krzyk, lecz natomiast rzucił się, jak piorun, na myśliwego i ten tylko ślepocie drapieżnika zawdzięczać może ocalenie życia, gdyż zwierz skok chybił, padając o parę kroków od myśliwego; tu dopiero drugim celnym strzałem dobił rozjuszoną bestyę.

Jaguar strzelany na blizką metę i w dobre miejsce ugodzony, łatwo przewraca się nawet od grubego śrótu, na dowód czego przytoczę następujący, autentyczny wypadek. Znajomy mój, p. Porte, alzatczyk, opowiadał mi, że zamieszkując w jednej z osad nad Amazonką, jako zapalony myśliwy, oddawał się często łowom na drobniejszą zwierzynę. Razu pewnego o zachodzie słońca szedł brzegiem plantacyi w nadziei, że spotka jaką zwierzynę, która w tej porze żerując, chętnie wychodzi na więcej otwarte miejsca. Naraz usłyszał szelest w gąszczu. Przedarłszy się przez gęstą ścianę zieleni, jaka zwykle w gorących krajach charakteryzuje pobrzeża miejsc otwartych, pozostał chwilę nieruchomie, zanim oczy jego przywykły do mroku, panującego już wtedy pod wysokim lasem, gdy nagle spostrzegł w paru krokach od siebie przyczajonego, jak do skoku, jaguara ze stulonemi uszami i roztwartą paszczą. Porte miał tylko gruby śrót w lufach, lecz nie namyśliwszy się, rzucił strzelbę do ramienia i mierząc w łeb, ściągnął za cyngiel, poczem w przestrachu zawrócił i puścił się, co mu nóg starczyło, aż póki nie oparł się w domu. Dopiero nazajutrz rano poszedł na miejsce wczorajszego czynu bohaterskiego i tu ku wielkiej swojej radości znalazł rozciągniętego bez życia jaguara wielkich rozmiarów. Trzy śróciny przebiły czaszkę nad okiem, powodując śmierć natychmiastową.

W braku pożywienia jaguar nie gardzi nawet drobiem. Sąsiadce mej w Yurimaguas noc po nocy zaczęły ginąć kury i indyki; sądząc więc, że to ocelot psot tych się dopuszcza, przy pomocy parobka zbudowała silną pułapkę w kształcie wielkiej klatki, złożonej z dwóch przedziałów, z których mniejszy służył na pomieszczenie koguta, jako przynęty, a większy, opatrzony w drzwiczki z odpowiednim mechanizmem, był właściwą samołówką. Jakież było jej zdziwienie, gdy nazajutrz zamiast ocelota, znalazła sporego jaguara, który ledwo mógł się pomieścić w klatce, obliczonej na znacznie mniejszego szkodnika. Na wiadomość o tem, zbiegli się wszyscy sąsiedzi i psotnika zakłuto lancami.

Jan Sztolcman.

(*C. d. n.*).

mi porachuje. Inna historya, jeżeli knieję taką otaczają pola obce. Wysoki *census* myśliwski nie byle komu pozwala chwycić za broń, by swego mienia bronić od szkodników, na cudzym wyhodowanych gruncie, a stać z założonemi rękami i patrzeć bezczynnie, jak z dnia na dzień nikną łany kartofli lub innego zboża, ryte przez dziki, to pozycya nie do pozazdroszczenia. Wszak małego posiadacza ziemskiego może to poprostu doprowadzić do ruiny. Wszak jakąś morgę kartofli, stanowiącą główne pożywienie całej rodziny włościańskiej przez rok cały, dobre stado dzików przez jedną noc zniszczyć może. Ażeby tego rodzaju wypadkom zapobiedz—warto się zastanowić, bo żal dzika, ale i chłopka żal. Albo się go zrujnuje, albo zrobi z niego kłusownika, bo doprowadzony do rozpaczy, chwyci za broń, co mu jest wzbronione, i strzelać będzie dziki na swojem polu, a zaprawiwszy się na swojem, pójdzie na pole sąsiada i dalej! Jeżeli kwestya ochrony dzika, czego bardzobyśmy pragnęli, znajdzie uwzględnienie w prawie, to równorzędnie pojawić się musi kwestya odszkodowań za szkody, zrządzone przez cudzą zwierzynę, co jest dla myślistwa wogóle bardzo niebezpieczne. Jeden z najwięcej znanych hodowców zwierzyny w Czechach, hr. Sylva Tarouca, doprowadziwszy na swoich terenach zwierzostan do idealnej niemal doskonałości, musiał następnie zwierzynę całkowicie wybić, aby uniknąć żądań kolosalnych odszkodowań, które prawo myśliwskie w Czechach zastrzega dla niemających *censusu* myśliwskiego, jeżeli dowiedzionem będzie, że sąsiedni, większy posiadacz ziemski, hoduje zwierzynę.

W naszych stosunkach myśliwskich dzik obecnie nie podlega ochronie, a § 16 przepisów z 1871 r. pozwala nań polować przez rok cały, chociaż niema go w wykazie szkodników, jak wilk, lis, i t. p. Zdaje się, że takie dwuznaczne traktowanie dzika w naszych przepisach jest dla tej zwierzyny najodpowiedniejsze, pozwala ją bowiem hodować tam, gdzie warunki po temu się nadają, a w razie nadmiernego rozmnożenia się—daje możność zmniejszenia ich liczby do wysokości pożądanej, a dla miejscowości danej nieszkodliwej. Z drugiej znów strony przepisy, dając możność takiego dowolnego polowania na dziki, nie zastrzegają żadnych odszkodowań za szkody, przez nie zrządzone. To też, o ile wiemy, niema u nas w kraju jakichś nadzwyczajnych zatargów granicznych z tego powodu, a dziki dość często spotkać można i zagłada im nie grozi. Pozostawienie więc dzika w takiej roli i w nowem prawie byłoby wskazanem.

W kwestyi drapieżników Komisya nasza zwróciła uwagę, że w projekcie pominięto w tym dziale czaplę, jakkolwiek jest ona bardzo szkodliwą dla rybołówstwa, oraz bociana, którego szkodliwość dla zwierzostanów dostatecznie przez myśliwych i literaturę myśliwską stwierdzoną została.

J. Z.

(C. d. n.)

Myślistwo a rolnictwo.

Czy są jakie wspólne interesy myślistwa i rolnictwa? Na pytanie to usiluje dać wyczerpującą odpowiedź jedno z niemieckich pism myśliwskich.

Dotychczas panuje niemal powszechne przekonanie, że oba te zawody są z sobą na stopie wojennej; raz dlatego, że forsowna kultura rolna nie znosi zwłaszcza grubego zwierzostanu, a powtóre, że ona usuwa coraz bardziej grunt z pod myślistwa, znosząc rowy, buchty, zarośla i lasy, byle tylko zyskać obszar wolny dla egoistycznych celów. Rozparcelowanie majątków i powstające stąd oddzielne dworki w małych posiadłościach, to dalsze czynniki, szkodzące myślistwu.

Jedynem przeciwstawieniem tych stosunków opłakanych jest to przynajmniej, że właściciele większych dóbr i gospodarstw wielkopańskich starają się prawie wszędzie o zachowanie poważnej rezerwy zwierzyny łownej w odpowiednich rewirach. Bywa zresztą, że i w mniejszych majątkach „gospodarz-myśliwy" ze swej strony robi usiłowania w kierunku poprawienia stosunków myśliwskich, ogół jednak nie przywiązuje wielkiej wagi z punktu widzenia rolniczego do znaczenia myślistwa, bez względu na konsumcyę mięsa, dostarczonego za pomocą łowów. Czasami wprawdzie wspomina się o gospodarczym i ekonomicznym pożytku z łowiectwa, częściej jednak lekceważą jego wartość, a nieraz zapoznaje się ją całkowicie. Szkody, wyrządzane przez zwierzynę i wynagrodzenie za te szkody odgrywają wybitną rolę we wzajemnym stosunku między gospodarstwem rolnem a łowieckiem. Ale skąd tu może być mowa o wspólnych interesach? — mimowoli zapytujemy, nie zdając sobie dokładnie sprawy z przedmiotu. Myśliwi, zdaje się, mają conajwyżej wspólność interesów z właścicielami wielkich dominiów i z tymi rolnikami, którzy sami uprawiają myślistwo; natomiast przeciwnie, z większością gospodarzy rolnych myśliwi prowadzą walkę zaciętą o zachowanie i rozrost zwierzostanu. Rolnicy przytem nie pamiętają dosyć o tem, że myśliwi w znacznym stopniu przyczyniają się do wyrównania stosunku ilościowego zwierzyny użytecznej, tępiąc szkodniki, czem podwójną usługę oddają rolnictwu!

O ile słuszne są wogóle uwagi powyższe, nie należy sprawy rozpatrzyć tylko jednostronnie; trzeba owszem wywołać wymianę zdań między przedstawicielami myślistwa a rolnikami, wysłuchać opinij wzajemnych i traktować sprawę z pewną tolerancyą, która prowadzić winna do zgodnego porozumienia, co jest właśnie celem niniejszego artykułu.

Traktaty międzynarodowe prowadzą coraz częściej do tego, żeby utrzymywać wszędzie ptaki, pożyteczne dla rolnictwa, ochraniając je mianowicie przed niszczycielami, gdy one odbywają wędrówkę do ciepłych krajów, bo wtedy są narażone na prześladowanie. Jeżeli dotychczas jeszcze nie osiągnięto konkretnych wyników poważniejszych, to jednak znać już wpływ pośredni tych umów międzynarodowych na niektóre stosunki, jak naprzykład świeżo w Egipcie, kraju, w którym odbywa się łowienie ptaków wędrownych na wielką skalę i skąd wyprawiano do Anglii całe okręty, naładowane przepiórkami. Obecnie jednak, jak piszą z Kairo, wydano tam zakaz, wzbraniający łowienia przepiórek w sidła, w obrębie conajmniej 1,000 m. od wybrzeża. W każdym razie ochroniło się w ten sposób mnóstwo użytecznych ptaków, które spadały zmęczone na wybrzeże; teraz mają one czas i miejsce, gdzie mogą wypoczywać przed dalszą wędrówką i nabrać nowych sił w obrębie wybrzeża. Pozatem zabroniono całkiem łowienia ptaków na lep, oraz handlu drobnemi ptakami, określonemi nazwą „Beccafigues", w obrębie Egiptu wogóle.

Przepiórka ma dla świata łowieckiego bardzo niewielkie znaczenie myśliwskie, co głównie przypisać należy jej użyteczności. Po większej części nie wymieniają wcale tego ptaka w przepisach łowieckich, a jeżeli świadectwa myśliwskie w Prusach, Wirtembergii i t. d. zaznaczają przepiórkę, to jednak ją ochraniają, co się wyraźnie ujawnia w tem, że np. firma „Franz Andreas" w Berlinie w swej statystyce sprzedaży zwierzyny w r. 1902/3 nie przytacza ani jednej przepiórki. Na tym więc punkcie zgodnie postępują myśliwi i rolnicy, ochraniając prawie całkowicie tego ptaka wielce użytecznego.

Kuropatwy miejscami dzielą także losy przepiórek. Podczas jednak, gdy ostatnie ukazują się bardzo rzadko i gniazda swe ścielą przeważnie w wysokiem

zbożu, to pierwsze są ruchliwsze i w przeciągu dnia zmieniają często swe miejsce pobytu. Bardzo licznie spotykamy je na miedzach polnych, w zagonach i na otwartych miejscach. Biorąc pod uwagę korzyść wyjątkową, jaką zapewniają kuropatwy w kulturze rolnej, oraz wzgląd na wartość ich mięsa, trzeba pamiętać, że one stanowią ważny dział myślistwa, tembardziej, że w normalnych latach zwierzostan kuropatw przez naturalne rozmnażanie uzupełnia się licznie, mimo odstrzelenia, a często nawet wzrasta znacznie, jak to wykazuje statystyka odpowiednia w wielu rewirach. I tutaj więc zarówno rolnictwo, które uważa kuropatwy za wybornych tępicieli owadów, jak i myśliwi mają wspólny interes w rozmnażaniu tej zwierzyny, co się osiąga przez prawidłowe uprawianie łowiectwa, przez staranną ochronę kuropatw przed drapieżnikami, przez hodowlę młodych i przez dostarczanie pokarmu w zimie.

Jak wielki jest pożytek z kuropatw pod względem narodowo-ekonomicznym, wyjaśnia to, że w Prusach np. corocznie bije się około czterech milionów kur, co przedstawia kapitał, minimalnie dwa miliony marek wynoszący. Firma „Franz Andreas" w Berlinie sama sprzedała, podług statystyki 1902/3 roku, 35,605 kuropatw. Obydwa tedy gospodarstwa, rolne i łowieckie, jednakowo są zainteresowane na punkcie tej zwierzyny.

(*Dok. nast.*).

WIKTOR STEPHAN.

KUROPATWA.

(*Ciąg dalszy*).

Po podanych okresach przemiany może być dziób niejaką cechą do odróżnienia, starka bowiem ma dziób żółtawo biały ze znaczniejszem zakrzywieniem górnej szczęki, a dziób młodki jest niebieskawo szary i stożkowaty; dalej piórka na łebku są u starek więcej rudawo-żółte, a u młodych więcej szare.

Już w zimie, kiedy inne wybitne znamiona mniej lub więcej się zacierają, można jeszcze poznać młódkę po kształcie trzech pierwszych lotek, które u młodych są spiczaste, a u starych zaokrąglone, rozpoznanie jednak, według tej cechy wymaga wprawy.

Zdarza się, że kupcy, w celu sprzedaży starych kuropatw za młode, podcinają starkom lotki nożyczkami; wiadomo bowiem, że młode kuropatwy są znacznie droższe od starek.

Czytałem niejednokrotnie opisy o cechach rozpoznawania kuropatw w obcych językach, niektóre wierszem, przytaczam tedy jeden z lepszych w wolnem tłomaczeniu:

„Gdy kuropatwy, miłej ptaszyny,
Nóżka ma barwę jasnej cytryny,
Błogosław lufy twej celne strzały,
Bo tegoroczną kurkę ci dały.
Jednak na jedną osobę dwie
Nie będzie za dużo — o, wcale nie!"

„Gdy pomarańczy barwę posiędzie,
Wtedy na pieczeń najlepszą będzie.
Gdy nóżka szarą barwę przybierze,
Piecz nieco dłużej, radzę ci szczerze;
Gdy ciemne tony przyjmuje już,
Nim na brytwannę, do garnka włóż".

„Jeżeli jednak twoja ptaszyna
Dostawać sine nóżki zaczyna,
A wkoło oka krąg czerwonawy,
Dzióbek zostaje prawie białawy,
O! taką pieczeń na talerz krój,
Gdy cię odwiedzi wierzyciel twój!"

Już po pół roku życia, a zatem w październiku, jest kuropatwa zupełnie wyrosłą i wtedy waży 1, a niekiedy 1,5 funta.

Sięg skrzydeł wynosi 50 ctm., długość ciała waha się między 30 a 35 ctm. Nogi, czyli cieki, lub biegi, mierzą 15 ctm. długości, z czego na nieopierzone części przypada po 5 ctm. Nieopierzone części nóg, tak jak i palce, pokryte są daszkowato-łuskowatym naskórkiem. Właściwej ostrogi kuropatwy nie mają.

Pomimo krótkich skrzydeł w stosunku do korpusu, ma kuropatwa lot bardzo szybki, szczególnie podczas miernie silnego wiatru, może w powietrzu wysoko szybować.

Chyżość lotu kuropatwy obliczają na 11 metrów na sekundę; chyżość ta w porównaniu z szybkością lotu np. gawrona jest bardzo wielką, gdyż gawron przelatuje w jednej sekundzie 4 do 6 ctm, a gołąb domowy około 16 metrów.

Co do wysokości lotu, można powiedzieć, że o normalnych warunkach kuropatwa nie wzbija się wyżej, jak nad 20 metrów ponad powierzchnię ziemi i zwykle niedaleko miejsca, skąd się zerwała, zapada.

Jeżeli kuropatwa siedzi lub cieknie, to skrzydła pokrywają ogon prawie zupełnie, który w takiej pozycyi ptaka jest klinowato złożony i ku końcowi w miarę zaokrąglony. Długość ogona mierzy 8 ctm.

Kuropatwa, przy podnoszeniu się i w locie, roztacza ogon wachlarzowato; stare kury roztaczają go mniej, aniżeli młode. Co do ilości składanych jaj — to pewna, że starsze kury niosą więcej, aniżeli młode, atoli bardzo stare stają się niepłodne i wówczas przybierają stopniowo upierzenie, zbliżone do koguta.

Dosyć osobliwym i godnym zaznaczenia objawem u kuropatw jest okoliczność, że kończąc życie, zamykają oczy, znajomość tego objawu powinna być znana każdemu myśliwemu bez wyjątku z powodów łatwo zrozumiałych, o czem bliższe określenia podam w dziale o polowaniach. Kuropatwę w dobrym stanie mięsną i tłustą zowią myśliwi „pyszna". Właściwą woń, którą kuropatwy po sobie zostawiają, zowią myśliwi „wiatrem".

Kuropatwy, jak i wszystkie kurowate, posiadają rozszerzony przełyk, który tworzy wole, skąd rozmiękczony pokarm przechodzi do grubościennego, okrytego gruczołami przedżołądka, a następnie dopiero dostaje się pokarm do właściwego, muskularnego żołądka.

Powyżej opisany sposób trawienia umożliwia kuropatwom żywienie się na równi twardym, jak i miękkim pokarmem, dlatego też kuropatwę zaliczyć można do ptaków wszystkożernych (*omnivora*), spożywa bowiem zarówno wszelkie glisty, gąsienice, robaczki, ślimaczki i t. p., jak i nasiona wszelkich zbóż i traw, tudzież owoce lub nasiona chwastów, krzewów i jagód, młode trawy, oziminy, a nawet ziemniaki, buraki, marchew i t. p.

Pewnego razu przy sekcyi kuropatwy naliczono w żołądku 300 ziarnek różnych chwastów, a mianowicie: dziki mak, kąkolina pospolita czyli żytnia, czarnucha, ognicha, czyli opucha lub rzepnica, oset, muszki, ślimaczki, pająki, poczwarki, czerwie, gąsienice i robaczki. Wobec tego można sobie zdać sprawę, jaką ilość chwastów i szkodliwych dla rolnictwa owadów wytępi dziennie stadko kuropatw, złożone z 12 lub 15 sztuk. Jeżeli więc kuropatwy w czasie żniwa lub siewu zużytkują między innemi nieco ziarna, to przecież szkoda tu nie stoi w żadnym stosunku do pożytku, zwłaszcza, jeżeli się zważy, że kuropatwy nie grzebią za ziarnem, lecz zbierają jedynie to, co leży na wierzchu i jest nieprzykryte, a zatem i tak nic

mając warunków do kiełkowania, napewnoby bez pożytku zbutwiało.

Powszechnie wiadomo, że kuropatwę zowią ptakiem kultury, t. j. że najchętniej się osiedla i najliczniej rozmnaża tam, gdzie gospodarstwo stoi na wysokim stopniu rozwoju; rozmaitość pokarmów jednak, a co za tem idzie i łatwość utrzymania, sprawia, że kuropatwy występują w dość pokaźnej ilości nawet w okolicach o słabszej ziemi i mniejszej kulturze, jeżeli w zamian mają dostateczną ochronę.

Miejsce, gdzie kuropatwy szukają pożywienia, czyli gdzie żerują, zowią myśliwi „żerowiskami".

(C. d. n.)

POLOWANIE w TURCYI EUROPEJSKIEJ
i krajach sąsiednich.

Przez

Adama Czajkowskiego.

(Z rosyjskiego).

(Ciąg dalszy).

Jedyną rzeką w Tessalii jest Kalabria czyli Penej starożytny; Grecya uważa ją teraz za swoją linię graniczną. Płynąc prawie przez środek Tessalii, rzeka ta stanowi jedyny odpływ do morza dla wszystkich wód, spływających z otaczających równinę gór. W lecie jest ona płytką, lecz w czasie tajania śniegów na górach toczy masę wody. Przeciąwszy Tessalię z zachodu na wschód i zebrawszy w siebie wszystkie górskie strumienie, Kalabria przedostaje się do Archipelagu przez wązką szczelinę pomiędzy Olimpem a górą Ossa. Szczelina ta znaną jest pod nazwą wąwozu Tempejskiego, opiewanego przez starożytnych z powodu piękności brzegów. W niektórych miejscach jest ona zaledwie na pół wiorsty szeroka, podczas gdy z jednej strony góra Ossa otacza ją prawie prostopadłą ścianą, dochodzącą w niektórych miejscach do kilkuset stóp wysokości, a z drugiej strony góry Olimpu są także bardzo wysokie, lecz stoki mają łagodniejsze. Gdyby wskutek jakiejkolwiek, naturalnej przyczyny, np. bardzo tu możliwego trzęsienia ziemi, obsunęła się część góry, to nastąpiłoby powtórzenie potopu Deukaliona.

Zimy bywają tu bardzo ciepłe; w dolinie śnieg prawie nigdy nie pada, a otaczające góry nie dopuszczają północnych wiatrów. Skutkiem tak pomyślnych, klimatycznych warunków, Tessalia służy za punkt zborny ogromnej ilości ptactwa, do czego przyczynia się także znaczny obszar błot w dolinie. Ptactwo przelotne zatrzymuje się tu tylko na zimę, a z nastaniem pierwszych dni wiosny wraca na północ. Na lato pozostają tylko: na równinie bażanty i szare kuropatwy, a w górach czerwone kuropatwy, przepiórki i jeszcze jeden gatunek ptactwa z rodziny strepietów, lecz o połowę od strepieta mniejszy, zwany tutaj kurką kartagińską. Myśliwych tu bardzo mało; na ptactwo, głównie na gęsi, kaczki i strepiety, miejscowi mieszkańcy polują, podchodząc je. Na strepiety polują także z cieniami, rozstawiwszy kilka sztuk na równem miejscu, a myśliwy ukrywa się w jamie, wykopanej w ziemi i nakrytej gałęziami. W podobny sposób polują i na bażanty, które trzymają się gąszczy i drobnych zarośli; myśliwi ukrywają się w szałasach z gałęzi, postawionych na brzegach polanek, na które bażanty wychodzą. Ptaki te strzelają także wczesnemi rankami na drzewach, na których one nocowały. Drzewa takie myśliwi wypatrują z wieczora, jeszcze przed zachodem słońca, co nie jest trudnem, gdyż bażanty nocują na drzewach, których gałęzie wznoszą się ponad otaczające zarośla. Na bażanty, oprócz strzelców-handlarzy, polują jeszcze myśliwi amatorowie, głównie z pomiędzy tureckich właścicieli ziemi, czyli bejów. Lecz ci ostatni polują sposobem więcej szlachetnym, z sokołami i konno. Kilku obławników i zgraja najrozmaitszych psów wypędzają ptaki z gąszczy, a sokoły puszcza się wtedy, kiedy bażanty przelatują nad czystemi polanami. Wogóle polowanie na ptactwo odbywa się tu więcej w celach handlowych, a nie dla sportu, a zatem nie podług prawideł, przyjętych w Europie dla polowań z wyżłem i bronią palną. Za to bardzo popularnem jest tu szczucie zajęcy chartami i dlatego też istnieje w Tessalii bardzo dobra rasa tych psów, pielęgnowana i utrzymywana przez wiele osób, nawet przez chłopów. Tutaj chłopi zamieszkują ogromne wsie, liczące po tysiąc, a nawet więcej domów. Zmusiła ich do tego obawa przed rozbójnikami, którzy, korzystając z bliskości granicy i nieprzystępnych gór, w których mogą się chronić, czynili częste napady na spokojnych mieszkańców. Skutkiem takiego osiedlania się w jednem miejscu, pola są bardzo odległe od wsi i chłop, idąc na swoje pole, może podnieść niejednego zająca. To też bierze on z sobą charta i szczuje każdego spotkanego zająca lub szakala. Zajęcy jest tu moc niesłychana i należy przypuszczać, że płodzą się one w ciągu całego prawie roku.

Szakale bardzo są pospolite wzdłuż brzegów Archipelagu i morza Marmora aż do Rodosty i Konstantynopola, gdzie są już rzadsze. W głąb kraju szakale nie zachodzą, a trzymają się bliżej morza i dlatego często można je spotykać w okolicach Adryanopola. Zwierzęta te stanowią prawdziwą plagę kraju. Często dostają się nawet wewnątrz domów i rabują wszystko, co im się trafi, nietylko produkta spożywcze, ale i rzemienie, oraz różne wyroby ze skóry. Kiedy staliśmy obozem na równinie Aymoross, na granicy Grecyi, szakale często kradły nam z namiotów buty, a nawet siodła. Rzecz prosta, że szakale tępią masę zwierzyny, ale też gdyby ich nie było, zwierzyna, wobec małej liczby myśliwych, rozmnożyłaby się nadmiernie.

Pewien, zupełnie wiarogodny człowiek opowiedział mi następujące zdarzenie: czatował on w nocy na dziki około bachczy (ogrodu) z melonami i kawonami, do której zaglądały często i szakale. Jakoż i wtedy zjawiło się trzech tych małych rabusiów i obwąchawszy kilka melonów, zatrzymały się przy jednym, który zapewne zdawał się im najwięcej dojrzałym. Jeden z szakali odgryzł łodygę, zostawiając tylko mały kawałek, a schwyciwszy go zębami, powlókł melon w stronę pola. Lecz tamtejsze bachcze są zawsze otoczone rowami, z których ziemia bywa wyrzucaną zewnątrz, formując wał. Otóż kiedy szakal wciągał melon na tę przeszkodę, łodyga urwała się i owoc stoczył się z powrotem do bachczy. Szakale zatrzymały się na krótką chwilę, jakby rozmyślając, co dalej robić; następnie jeden przewrócił się na grzbiet, a dwa pozostałe nosami podtoczyły mu melon pomiędzy łapy i przeciągnęły go razem ze zdobyczą przez przeszkodę (??).

(C. d. n.)

CIETRZEW MŁOKOSIEWICZA.

(Lyrurus Młokosiewitchi).

Wysoki region traw alpejskich Kaukazu zamieszkuje gatunek cietrzewia, zupełnie od europejskiego odmienny, a który do niedawnych czasów był za

zwykły gatunek cietrzewia uważany. Dowodzi to, jak niedbale były prowadzone badania naukowe Kaukazu, mimo, że w Tyflisie istnieje oddawna muzeum zoologiczne, którego dyrektor, p. Radde, jako specyalista-ornitolog, od dłuższego czasu studyował avifaunę tego ciekawego kraju. Dało to nawet powód do ostrych krytykowań p. dyrektora, który ciesząc się europejską sławą, mógł mieszać w jedno cietrzewia kaukazkiego z cietrzewiem europejskim – dwóch gatunków, tak dalece różniących się od siebie.

W roku 1875-ym nadleśniczy lasów rządowych w Łagodechach, p. Ludwik Młokosiewicz, nadesłał na ręce ś. p. Taczanowskiego parę wypchanych cietrzewi, które to egzemplarze odrazu uznane zostały przez naszego znakomitego ornitologa za gatunek dotychczas nieznany i opisane zostały tegoż samego roku w Proceedingach londyńskiego towarzystwa zoologicznego pod nazwą „*Tetrao* (*Lyrurus*) *Mlokosiewitchi*" na cześć odkrywcy. Tak więc naszym ziomkom przypadł w udziale zaszczyt odkrycia i opisania tego nader ciekawego gatunku.

Cietrzew Młokosiewicza jest znacznie od naszego mniejszy i odznacza się przedewszystkiem całkowicie czarnem, słabo metalicznie połyskującem, ubarwieniem. Nawet podogonie jest czarne, a tylko w pachach znajduje się pęczek piór białych, a upierzenie skoku jest szare. Ogon jest też zupełnie różny od ogona naszego cietrzewia, gdyż składa się z piór, zagiętych na końcu ku dołowi, a nie na boki; każde pióro jest na końcu rynienkowato wygięte, ze żłobkiem zwróconym ku górze. Ważną też cechą, różniącą cietrzewia kaukazkiego od europejskiego, są korale, które u naszego składają się z całej seryi brodawkowatych wyrostków, gdy u kaukazkiego składają się z obnażonej, dość gładkiej, czerwonej przestrzeni ponad okiem, obrzeżonej od góry pojedyńczym płatkiem z postrzępionym brzegiem.

Kura różni się też znakomicie od kury cietrzewia europejskiego. Brak przedewszystkiem białego lustra w skrzydle, a całkowite ubarwienie jest kombinacyą daleko drobniejszej pstrocizny czarnej i rdzawo-płowej.

Cietrzew kaukazki trzyma się w górach, pomiędzy 5,000' i 7,500' wysokości nad powierzchnią morza; lubi najbardziej górną granicę drzewiastej roślinności, którą tu stanowią zarośla rododendronów z domieszką niewysokiej brzeziny; chętnie też przebywa wśród traw alpejskich. Tutaj więc obszar jego rozmieszczenia styka się z obszarem kuropatwy królewskiej (*Megaloperdix caucasica*); nieraz też widzieć można oba te gatunki obok siebie żerujące.

Sposobem tokowania różni się bardzo od naszego. Zwykle na tokowisko cietrzew kaukazki wybiera gładkie sklony gór, zrzadka usiane rozrzuconemi głazami kamiennemi. Tutaj zbiera się kilka, lub kilkanaście kogutów (najwyżej dwadzieścia), którym towarzyszą zwykle kury. Poza tokującego koguta jest bardzo charakterystyczna: ptak opuszcza skrzydła, ogon zadziera ku górze, lecz go nie roztacza, jak nasz cietrzew, głowę w tył zarzuca, mając dziób ku górze skierowany; przy tej pozycyi wole jest silnie naprzód wystawione. Pióra jednak nie są najeżone i ptak wogóle nie robi ruchów gwałtownych, tylko od czasu do czasu podlatuje w górę na kilka stóp, łopocąc dość silnie skrzydłami i wydając jednocześnie słaby pisk, który do pewnego stopnia sylabami *cir-cir-cir* wyrazić można. Innych głosów cietrzew kaukazki nie wydaje, czem się bardzo różni od europejskiego gatunku. Prof. Menzbier, od którego szczegóły te czerpiemy, powiada, że wogóle cietrzew kaukazki podczas toku mało się rusza, a wszelkie zmiany miejsca wywołane są jedynie przez poruszanie się samicy: jeśli ta ostatnia szybko od niego odchodzi, wówczas kogut podlatuje; jeśli zaś samica porusza się wolno, to samiec zwolna *bokiem* postępuje za nią. Mimo tej ociężałości, koguty biją się na tokach, chociaż nie z taką zajadłością, jak nasze.

Według p. Orłowskiego [1]), czas tokowania cietrzewia kaukazkiego nie jest stały, lecz zależny od długości zimy oraz ilości śniegu, jaki w górach wypadł. Wogóle jednak czas ten odpowiada miesiącom kwietniowi i majowi, a rozpoczyna się z chwilą pojawienia się nowej trawy. Tok rozpoczyna się ze świtem zarówno w piękną pogodę, jak i w czas pochmurny; jeśli wszelako pada deszcz, śnieg lub silny wiatr wieje, wówczas cietrzewie nie tokują. Tok trwa do godziny 8—9, kiedy samice odlatują na gniazda; koguty zaś zwykle dzień cały pozostają na tokowisku, drzemiąc lub leniwie żerując. Są one wtedy bardzo ociężałe i nie zachowują żadnych środków ostrożności; łatwo jest więc zajść je na odległość kilkudziesięciu kroków. Wieczorny tok rozpoczyna się około godziny 4 lub 5 i trwa do zmierzchu. Resztę czasu cietrzewie spędzają w zaroślach rododendronowych lub w lesie, skąd wylatują jednak często na miejsca otwarte, gdzie łatwiej karmę znajdują.

Kura urządza swe gniazda w gąszczu rododendronowym lub w krzakach brzeziny. Jest to niewielki dołek, wysłany zlekka trawą. W nim znosi cieciorka około 10 jaj, lecz nie wszystkie widocznie się wylęgają, gdyż stadka liczą zwykle 6 — 7 sztuk (bez starych). Kura siedzi na gnieździe bardzo twardo, z czego korzystają krajowcy, łowiąc je często rękami. Młode wylęgają się w początkach czerwca, niekiedy trochę później, względnie do stanu aury.

Polowanie na cietrzewie w locie jest dość trudne, chociaż ptaków tych w niektórych okolicach gór Kaukazkich jest bardzo dużo. Chodzenie po stromych spadkach wymaga zręczności i dobrych nóg, a strzały należą do trudniejszych, chociaż lot ptaka po prostej linii strzelanie ułatwia. Nie zawsze jednak przy porwaniu się ptaka znajdujemy dobre oparcie dla nóg; a nadto zdarza się bardzo często, że ptak kieruje się po sklonie z góry na dół, co, jak wiadomo, strzał bardzo utrudnia. Często też ptak postrzelony, a nawet zabity, spada w takie wertepy, że się poprostu nie opłaca za nim chodzić. Niemałe usługi może oddać w takich wypadkach wyżeł, lecz ten musi być nadzwyczaj wytrzymały i karny.

Mieszkańcy Osetyi uważają polowanie na cietrzewie za dziecinną zabawkę, mając poddostatkiem lepszej zwierzyny, jak tury i sarny; a przytem rzadko który z nich posiada broń śrótową. Niektórzy z nich tylko polują na tokach, lecz żadnych budek nie stawiają, a tylko chowają się za jakim krzakiem lub głazem kamiennym. Natomiast łowią oni cieciorki na gniazdach, skoro się po temu okazya trafi. Jeśli im się nie uda wziąć ptaka nad gniazdem rękami, wówczas urządzają na gnieździe, rodzaj szałasiku z jednem tylko wejściem, przez które ptak ledwie przedostać się może. Gdy kura wróci przez ten otwór na gniazdo, wówczas łowią ją bez żadnej trudności.

Jan Sztolcman.

NOTATKI MYŚLIWSKIE Z INDYJ

przez

Józefa hr. Potockiego.

(Ciąg dalszy).

26 marca. Nareszcie, w ostatni dzień mego pobytu w Goonie, św. Humbert łaskawszym okazać się raczył. Rano jeszcze nie było nic postanowionego

[1]) Patrz *Psowaja i rużejnaja ochota*, 1905. Księga I.

co do polowania, przed samem południem dopiero przysłał mi jeden z oficerów słówko z zapytaniem, czy nie chcę przejechać się konno i wziąć kilka miotów o parę mil od Goony, w miejscowości, gdzie już polowaliśmy kilka razy przedtem. Nie mając nic lepszego do roboty, pośpieszyłem na wezwanie. Gerard został w domu, mając zajęcie kancelaryjne, ruszyliśmy we dwójkę, porucznik B. i ja; ludzie i obława już czekali na nas, wzięliśmy dwa mioty, lecz próżnemi się okazały. Jeszcze jeden miot i mamy wracać do domu. Z dwóch stanowisk, na los szczęścia, sam sobie swoje obrałem, na grubym pniu nieznanego mi drzewa indyjskiej flory, o białej, jak mleko, korze i ogromnych liściach. Stanąłem sobie na konarze i sznurem się, dla pewności ruchów, do pasa przywiązałem. Drzewo wyrastało w skalistej szczelinie, podemną w dole, w głębi ciemnego wertepu szemrał w cieniu mimozy i jaśminu górski potoczek; na lewo piętrzyła się skała granitu, na prawo odkryty pagórek, dalej gąszcz. Obława ruszyła, rozległ się zwykły hałas tam-tamów i dzikie wycie Hindusów, wobec których najgłośniejsze ryki naszej naganki symfonicznym koncertem się wydają. W dole nad strumykiem przemknął mangust (Hespertes griseus), dziwne zwierzątko, trochę do kuny, trochę do wydry podobne, z puszystym ogonem. Mangust tem jest ciekawy i w historyi naturalnej z tego znany, że gadzinami się żywiąc, węże dusi i pożera; jest to jedyne stworzenie w przyrodzie, któremu zabójczy jad Cobry capelli nie szkodzi.

Po chwili szakal przebiegł pod mem drzewem, gdy wtem pies z puszczonej w miot psiarni, odezwał się raz, potem drugi: zdawało mi się, że usłyszałem jakby mruknięcie grubego zwierza, lecz się nie powtórzyło i znowu cisza zaległa. Obława była już blisko i mogłem już dojrzeć linię ludzi od lewego skrzydła się zbliżających. Myślałem już o wyjęciu ładunków ze strzelby, gdy raptem, na prawo gąszcz z trzaskiem się rozwarł i pantera w susach wypadła na otwarte miejsce, o 15 kroków od mego drzewa. Za szybko pierwszy raz strzeliłem, potknęła się wprawdzie po strzale, lecz gniewnie mrunkąwszy, dalej sadziła. Spokojnie z drugiej lufy wytrzymałem—po drugiej kuli rulowała jak zając, lecz z szybkością błyskawicy na nogi się podniosła i z potężnym rykiem, który donośnem echem o skały się rozbił, wpadła w gąszcz, nim zdołałem nabić strzelbę na nowo. Dawszy znak świstawką, że pantera wyszła z miotu, zlazłem śpiesznie, by miejsce strzału obejrzeć, farby było poddostatkiem. Chyba nam tym razem nie ujdzie! Ludzie się zbiegli, kilku tchórzy chciało po słonia posyłać, lecz nie było czasu do stracenia, słońce się miało ku zachodowi, należało, nie zwlekając, iść po tropie. Szedłem pierwszy między dwoma żołnierzami z pikami w ręku, za mną Grant i kilku żołnierzy. Znowu chwile niesłychanego wzruszenia, groźne aut, aut, dla mnie tem większa emocya, że postrzałek z mojej ręki. Puszczono pieski na trop, lecz nie smakowało im to jakoś, bo udawały, że śladu nie mogą odnaleźć i bokiem się rozbiegły, chociaż farba jasną smugą się przed nami ciągnęła. Uszliśmy nie więcej nad kilkadziesiąt kroków, gdy jeden z odważniejszych piesków, który się był naprzód wysunął, zaskowyczał żałośnie w krzaku korindy o sześć kroków przede mną. W tej chwili rozległ się ochrypły ryk, który mi dotąd brzmi w uszach i pantera wysunęła łeb na sztych z pod ciemnego krzaku. Obie me kule ją przywitały; skręciła się w kłębek, zwinęła na miejscu i w ostatnich podrygach rozciągnęła przed nami. Pierwszą mą kulę, o której wspomniałem, że się potknęła, miała w przedniej łapie, drugą śmiertelną w komorze, ostatnią we łbie; obok pod krzakiem leżał piesek z rozdartym bokiem, ofiara swej odwagi. Jemu zawdzięczamy, żeśmy wprost na postrzelonego zwierza nie weszli, chociaż tak był ciężko strzelony, że nie byłby w stanie rzucić się z impetem. Pyszna sztuka ośm stóp mierzy, jak mały tygrys niemal.

Pozłaziwszy z drzew zbiegli się Hindusi. Zaczęły się między nimi okrzyki podziwu na widok leżącej pantery, opowiadania, że temu zjadła krowę, temu kozę zabrała, prośby o bakszysz i t. d. Każdy się chwalił, że on pierwszy dał o niej wiedzieć i t. p., trochę, jak u nas na Polesiu lub Białorusi, gdy się niedźwiedzia rozciągnie. Dziwny to naród, tchórze, że większych nie widziałem, gdy zwierza zobaczą, a pomimo to bezbronni idą do obławy na tygrysa, co nie należy do najbezpieczniejszych rzeczy. Chęć zarobku strach przygłusza; do naganki idą, lecz aby się zwierz choćby o pół mili pokazał, panicznie, dziecinnie się go boją.

W tymże miocie obławnicy utłukli kijami w skałach ogromnego węża, gatunek „pythona", po angielsku rocksnake (Felsenschlange); mierzył pięć stóp długości i należał do mniejszych, gdyż mają się nierzadko trafiać okazy po stóp dwadzieścia i więcej. Pythony nie są jadowite, tylko, jak ich amerykański krewniak, Boa constrictor, uściśnieniem miażdżą i połykają ofiarę. Jedyny to raz zdarzyło nam się z tym ogromnym wężem spotkać; wogóle nie pora to w Indyach na węże, które dopiero w sezonie deszczów z pod ziemi wylażą. Cobry-capelle widziałem tylko po miastach w rękach kuglarzów i t. zw. czarowników, którzy zapomocą muzyki, doprawdy niesłychanych sztuk z temi strasznemi gadzinami dokazują.

Z tryumfem wróciliśmy z panterą do Goony, sam Gerard orzekł, że sztuka niezwykłych rozmiarów; dla mnie w każdym razie dzień dzisiejszy stanowi piękny epilog pobytu w Goonie.

Jutro mam pożegnać Goonę i gościnne progi państwa Gerardów, po całomiesięcznym u nich pobycie.

Rezultat mych łowów (1 pantera, 1 sambur, 2 nilgaje, 1 gazella, 4 dziki, 3 czarne antylopy, prócz drobnej zwierzyny) nader skromny, niefortunny niemal, bo króla dżunglów, tygrysa w nim brakuje, a jednak czas mi tu szybko i przyjemnie minął; wywożę bogaty zasób miłych wspomnień i niezatarte wrażenia nowych dla mnie myśliwskich epizodów w nieznanym mi świecie nowej przyrody i fauny.

(C. d. n.).

O KŁUSOWNICTWIE

z najodleglejszych czasów aż do obecnych.

(Dokończenie).

Zaproszony zostałem na polowanie w dość daleką stronę. Obiecano mi tam huk zwierzyny. Majątek, w którym polować mieliśmy, wynosi 56 włók — w połowie lasy i krzaki, a reszta łąki i pola orne. Po dość długiej podróży przybyliśmy, bo jechało zemną kilku kolegów z Warszawy, do ziemi, czyli majątku, obiecującego nam tak dużo zwierzyny. W majątku spotkał nas pierwszy gajowy, naturalnie z długą pojedynką na plecach, szeroką, borsuczą torbą na boku, przy której przytroczony był zając, i przy gajowym, nieodstępny towarzysz jego, pies gończy. Gajus ten, to typ prawdziwego kłusownika gajowego. Gdym go ujrzał, zaraz powiedziałem kolegom moim, tu nie mamy czego szukać, przy takim kłusowniku zwierzyny być nie może. I wkrótce przekonaliśmy się o tem. Polując w kilka strzelb kilka godzin i to z naganką, widzieliśmy wszystkiego dwa zające i trzy kuropatwy. Opisem tym chciałem tylko uwydatnić, ile to jeden kłusownik rutynowany wyniszczyć może zwierzyny, a co się tam dzieje, gdzie jest ich kilku. Właściciel majątku powyższego, bardzo sympatyczny i gościnny,

ale żaden myśliwy, więc gajus wytęża wszystkie siły swego fachu kłusowniczego, aby wymordować i ostatniego szaraka.

Ponieważ i w kłusownictwie są specyaliści, więc podzielę ich tu według ich specyalności, a mianowicie.

1. Kłusownicy ze strzelbą; a) dzienni, b) nocni, c) świąteczni.

2. Kłusownicy bez strzelby — a) upatrywacze, b) pastuchy.

3. Kłusownicy bez strzelby—a) wnykarze, b) pułapkarze.

1. a) Kłusownicy ze strzelbą. Dzienni rekrutują się przeważnie z włościan i gajowych; oni to wałęsają — kłusują dzień w dzień za zwierzyną po cudzych polach i kniejach; zawsze lekko ubrani i przeważnie na bosego, aby, w razie pogoni jaknajprędzej czmychnąć. W tym dziale kłusowników znajdują się i nauczyciele wiejscy i pisarze gminni. Szkody przez nich wyrządzane w zwierzostanie, stosownie do okoliczności, mogą być dość znaczne.

b) Kłusownicy ze strzelbą—nocni są o wiele dla zwierzostanów niebezpieczniejsi, niż poprzedni ich koledzy; ci rekrutują się z włościan i rzemieślników, ogrodników, ekonomów, lokajów. Oni to przy zachodzie słońca wychodzą, podkradają się pod cudze knieje, a głównie gdzie obfitość zwierzyny, i tam, z ukrytych stanowisk zabijają ją; wieczorem na wychodnego, a wczesnym rankiem na wchodnego; w jasne noce zaś na przynęconego. Wielkie czynią oni też spustoszenia w bażantach. Wiadomo, że bażanty zwykły na noc siadać na jednych i tych samych drzewach; kłusownicy, wiedząc o tem, podchodzą pod one drzewa i pół nabojami, bez wielkiego huku, zabijają je, albo też uderzają bażanty tlącą się siarką, którą przywiązują w naczyniu do długiej tyki, za pomocą której siarkę podtrzymują pod bażantami i te odurzone czadem siarki, spadają na ziemię i stają się łupem tychże kłusowników. Przy takiej operacyi ująłem pewnego razu kłusownika, który aż 13 bażantów miał już w worku. Kłusownikiem tym był kowal z majątku, do którego i bażanty należały. Słyszałem też nieraz opowiadania, że bażanty z niewiadomej przyczyny wyginęły, że drapieżne zwierzęta i ptaki je zjadły, nie wiedząc, że tym drapieżnikiem właśnie był kowal, lub inny rzemieślnik, albo służący z tego samego majątku.

c) Kłusownicy świąteczni wytwarzają się najczęściej ze sfery urzędniczej; ci bowiem, pracując po biurach, z nadejściem każdego święta, uprawiają kłusownictwo, raz dla zdobycia zwierzyny, a potem dla użycia świeżego powietrza. Są oni mniej niebezpieczni, z powodu złego strzelania. Jeżeli jednak włościanin się na świątecznego kłusownika wykieruje, to taki osobnik jest wielce niebezpieczny i dla zwierzostanu i dla pilnujących go. Dla niego niema nic świętego i w najuroczystsze święta czuje się najpewniejszym, w takie dnie idzie tam kraść, gdzie jest najmniej spodziewany, a przydybany, stawia zawsze zacięty opór. Taki jegomość, to nie Sonntagsjaeger, lecz Wildräuber.

2. a) Kłusownicy bez strzelby — upatrywacze. Ich specyalność polega na upatrzeniu zwierza w kotlinie, legowisku, barłogu, a ptaka na gnieździe. Ludzie ci odznaczają się nadzwyczaj bystrym wzrokiem, obdarzeni są wielkim sprytem, wytrzymałością i cierpliwością. Upatrzonego zwierza wskazują swym kolegom ze strzelbą, którzy go zabijają, a łupem potem wspólnie się dzielą. Uprawiają oni swój proceder z wielkiem zamiłowaniem i dlatego są dość szkodliwi.

b) Kłusownicy - pastuchy. Ci młodzi adepci kłusownictwa wyrządzają zwierzostanom ogromne szkody — większe, aniżeli niejeden właściciel polowania przypuszcza. Przed ich argusowemi oczyma nic się nie ukryje. Młode kaczki, zajączki, sarenki, gniazda kuropatw, cietrzewi, kwiczołów — wszytko to staje się ich pastwą. Ileż to razy, przy objeździe lasów, gdy zrewidowałem kieszenie i torby tych kłusowników, znalazłem tam jajka rozmaitych ptaków i małe kociaczki. Lisy i pastuchy, to w lasach i polach najwięksi zbrodniarze dla zwierzyny; przed nimi nic się nie ukryje i wszystko zmarnować muszą,—co na drodze, to nieprzyjaciel.

3. a) Kłusownicy-wnykarze. Ci niszczyciele zwierzyny należą do najniebezpieczniejszych dlatego, że umieją ukryć swoje rzemiosło przed oczami straży leśnej i niszczą zwierzynę hurtem. Jeden wytrawny kłusownik-wnykarz więcej zniszczy zwierzyny w tydzień, niż taki ze strzelbą w pół roku. Ująłem raz takiego wnykarza, który z jednej nocy niósł jedenaście zajęcy, uduszonych wnykami. Niemcy, przodujący w wynalazkach i pomysłowości, łowią zwierzynę już wnykami elektrycznemi. Wnyki te, to specyalność na jelenie. Gdy jeleń w taki wnyk wpadnie, to prąd elektryczny go momemtalnie zabija. Przypadki takie miały miejsce nie tak dawno w Westfalii.

b) Kłusownicy - pułapkarze. Ci niszczą najwięcej ptactwa, a przeważnie kuropatw. Zimą na śniegach giną w pułapki całe stada, a także i bażanty. W ich specyalność wchodzi i tępienie drapieżników, jak: kun, tchórzów, lecz często i zajączek staje się ich ofiarą.

Z opisu niniejszego przekonywamy się, jak wielce przeszkadza kłusownictwo w rozwoju zwierzostanów; jak dobry zwierzostan jest przynętą dla kłusowników i jak wielkiej czujności i opieki wymaga zwierzostan, jeżeli nie ma być niszczonym przez kłusowników. Kwitnący stan kłusownictwa w naszym kraju przypisałbym łagodności kar za kłusownictwo i niewykonywanie przepisów, dotyczących kar za kłusownictwo przez same organa policyjne, a głównie w czasach ochrony zwierzyny, w których kłusownictwo najwięcej grasuje i największe przynosi zwierzostanom szkody. Widzimy w Warszawie na targach, albo u roznoszących żydków po mieście, świeżo ubite zające, kuropatwy i inną zwierzynę w miesiącach wiosennych i letnich. Podwyżka opłaty za bilety na broń i polowanie krzywdy kłusownikom nie uczyni, ukarze ona tylko myśliwych tych, którzy zawsze racyonalnie polują; bilety na broń, na polowanie, to dla kłusowników — terra incognita. Tyle, co kłusownictwo przynosi zwierzostanom szkody, przynoszą i niewłaściwe terminy ochrony zwierzyny, tak np. zające nie powinny być dłużej strzelane, jak od 1-go listopada n. st. aż do 1-go lutego st. st., a kuropatwy od 15-go sierpnia do 1-go stycznia n. st. Kaczki zaś już 1-go lipca n. st., bez wszelkiej szkody dla nich, strzelaneby być mogły.

Niech jednak wszystko kompetentniejsi lepiej ocenią.

W. Szosłak.

Czyszczenie broni po bezdymnym prochu.

Bezdymny proch bez zaprzeczenia ma wiele zalet dodatnich: nie daje dymu, względnie szarpie mniej, aniżeli proch czarny, nie wytwarza silnego, denerwującego huku i w ostrości strzału (głównie mam na uwadze „Sokół“) jeżeli nie przewyższa bodaj czarnego prochu, to mu dorównywa zupełnie. Strzelając „Sokołem“, miałem zawsze parę arkuszy kartonu przebitych więcej, aniżeli czarnym prochem. Jedyną stroną ujemną bezdymnych prochów wogóle, a wię[c] i „Sokoła“, jest ich niszczące działanie na lufy. Gryzący osad po strzałach, na pozór nieznaczny, bardzo silnie przylega do luf i nadzwyczaj utrudnia ich czyszczenie, które musi być stanowczo bardzo dokładne ze względu na kwasy, zawarte w produkcie spalenia, t. j. osadzie spalonego prochu. Puszkarstwo daje nam do tego masę środków i sposobów: różnej konstrukcyi szczotki

stalowe, mosiężne, z sierci, ze skóry i t. p. oraz najprzeróżniejsze preparaty tłuszczowe. Liczba tego wszystkiego bardzo wielka: ten zachwala jedne, ów drugie, ale co z tych narzędzi i środków jest dobre, praktyczne i niepsujące broni? Myśliwy ma tu trudny wybór i najczęściej musi sam doświadczyć, czem się można posługiwać, a nawet nieraz za to doświadczenie zapłacić popsuciem strzału.

Jeden z najlepszych, angielskich puszkarzy, wynalazca teraźniejszej, odtylcowej, myśliwskiej broni, Lancaster, mówi: „nie używać, chyba w ostatecznym razie, szczotek stalowych, a nawet mosiężnych, bo one więcej szkody przynoszą, niż pożytku“.

Po sprawdzeniu tej rady doświadczeniem, podaję myśliwym wskazówki, co do praktycznego i niepsującego broni czyszczenia luf po bezdymnym prochu. Pierwszem, głównem przykazaniem dla myśliwego powinno być: wyczyścić broń zaraz po polowaniu bez odkładania na jutro. Gorącej wody najczęściej niema pod ręką i przytem wytarcie do sucha luf po niej pakułami jest trudne, więc zalecam do zdjęcia osadu prochowego amoniak (spirytus amoniacki). Względem stali i żelaza amoniak zachowuje się zupełnie obojętnie, tylko miedź i mosiądz okwasza w postaci grynszpanu. Dla sprawdzenia tego, polerowaną stal trzymałem w amoniaku przez 24 godzin i nie znalazłem na niej najmniejszego znaku, nawet przez powiększające szkło, nadgryzienia i rdzy; powierzchnia polerowana stali miała taki sam wygląd, jak przed włożeniem do amoniaku.

Do czyszczenia amoniakiem należy nakręcić waty na stempel i polać dostateczną ilością amoniaku, tak, żeby wata dobrze nasiąkła, i przeciągnąć parę razy przez lufę, żeby ścianki jej były dobrze zmoczone. Do drugiej lufy wziąć trzeba świeżą watę, bo ta będzie brudna. Po paru minutach zobaczymy, że cały osad w lufach odstał od ich powierzchni, który natychmiast gomułkami, skręconemi z pakułów, należy wydalić, przepychając je przez lufy. Następnie raz jeszcze przetrzć lufy watą z amoniakiem i jak za pierwszym razem, przepchnąć gomułkami z pakuł, poczem nawijać pakuły na stempel i wycierać lufy do sucha. Po wysuszeniu posmarować kurolem i dobrze wytrzeć angielską, twardą szczotką włosianą, kalibrową. Po tej operacyi wysuszyć tłuszcz pakułami i przeczyścić znów taką drugą, suchą szczotką i ostatecznie wyczyścić watą do tego stopnia, żeby na niej nie znać było brudu, i wysmarować lufy kurolem, albo wazeliną czystą, lub pomieszaną z kurolem.

Nawet hartśrót broń zaołowia w czokach, więc, chcąc uniknąć tego, a tem samem szczotki mosiężnej, radzę używać śrótu niklowanego, ktory równie dobrze działa, jak hartśrót, a jeszcze ma tę zaletę, że jest twardszy i nie traci formy.

Edward Orda.

FUTRA DROGOCENNE.

(Z niemieckiego).

(Dokończenie).

Handel związany z obławami północno amerykańskich myśliwych, spoczywał oddawna w rękach kompanii Hudsońskiej, kompanii krainy Alaski (z siedzibą w S.-Francisco), oraz spółki amerykańskiej przerobów futrzanych. Pierwsza z nich, mimo ograniczenia jej monopolu przez rząd amerykański, jeszcze przed laty dziesięciu gromadziła w swych składach w Montreal po 135,000 skór, a w tej liczbie po 16,300 bobrowych, 15,000 łasiczych, 2,800 lisich i około 1,700 niedźwiedzich.

Los traperów amerykańskich, dostarczających kompaniom handlowym materyału futrzanego, jest niemniej twardy, niż łowców syberyjskich. Wyprawa odbywa się na niewielkich łodziach, obładowanych niezbędnemi zapasami pożywienia i amunicyi. Im dalej ku północy, tem cenniejszy łup myśliwski, tem kosztowniejsza skórka, a co za tem idzie, większy zysk materyalny.

Przybiwszy do brzegu w miejscu odpowiedniem, traperzy zakładają w gęstwinie zimowe obozowisko, oczywiście po dokładnem zbadaniu terenu i upewnieniu się, że w pobliżu jest poddostatkiem, pożądanej na rynkach, lipskim i londyńskim, zwierzyny.

Po założeniu schroniska, rozpoczyna się bardzo mozolne tropienie zwierzyny. Na odmiałach, w szlamistych łożyskach wód dawniejszych, bagnach i trzęsawiskach, na pniach starodrzewiu i w głębiach puszcz odnajduje traper ślady zwierzyny, rozpoznając z bystrością zdumiewającą — gdzie i czego szukać? W rozległym obwodzie, na węzinach i zboczach rozstawia przemyślnie pułapki, przymocowując je do pali w wypadkach wysokiego wodostanu. Niezwykła spostrzegawczość i subtelnie wyrobiona pamięć lokalna dozwalają traperowi odnajdywać z łatwością nastawione samotrzaski, nawet wtedy, gdy nocą wzbiorą nagle potoki, co się często zdarza w tamtejszych okolicach.

Najgłówniejszą rolę dla trapera odgrywają obławy na piżmowco-szczury (*opossum*) oraz minki; szczególniej interesującemi są łowy na pierwsze z nich. Za przynętę służą zwykle jabłka, w samotrzaskach przed otworem jamy umieszczane. Ponieważ schwytane w samołówki ofiary, stają się często żerem dla pozostałych na wolności zwierząt, przeto traperzy nastawiają pułapki w ten sposób, że z chwilą zatrzaśnięcia wraz z łupem zanurzają się w wodę.

Biegli w sztuce łowieckiej Indyanie, rozpoznający szybko, gdzie się gnieżdżą piżmowco-szczury, skradają się po cichu pod jamy i dzirytem nagle uderzają w głąb, zawsze prawie z pomyślnym skutkiem.

Od piżmowco-szczurów należy odróżniać bobroszczurów, których ojczyzną jest Ameryka południowa, a które pod nazwą „*nutria*“, pojawiają się na rynkach futrzanych w ilości ogromnej, dochodzącej do 500,000 sztuk. Ameryka południowa jest też dostarczycielką—i to jedyną — szinszyli, futerka, bardzo cennego ze zwierzątka tegoż miana, należącego do rodziny wiewiórek.

Oprócz powyższych, Ameryka dostarcza rynkom światowym w ilości bardzo pokaźnej, bobrów, lisów kanadyjskich, tchórzów wirgińskich, najwięcej zaś kun leśnych, na które nastawiają niekiedy na milowych przestrzeniach wzdłuż i wszerz drewniane samotrzaski.

Z niemałym wreszcie zachodem połączone są łowy na wydry północno-amerykańskie, dostarczające skórek bardzo cennych obecnie, znanych pod nazwą wydry labradorskiej.

Że łowy w Ameryce dostarczają nam także w znacznej ilości skór niedźwiedzi rozmaitego gatunku, o tem rozpisywać się nie będziemy, jako o fakcie powszechnie znanym.

Zastanawiając się nad losem tych specyalnych skarbów, które łowcy syberyjscy z takim mozolem zdobywają, ubolewać należy, że dalsza przeróbka, dostarczanego przez nich surowca, bogaci, niestety, przeważnie przemysłowców oraz kupców niemieckich i angielskich. Krainy bowiem wschodnie nie zdobyły się dotąd na należyte i umiejętne sprawianie i przerabianie skór, pozwalając się wyprzedzić wielkim fabrykom zagranicznym, zbogacającym już nie jednostki, nie rodziny, ale okolice całe. Dość nadmienić, że np. znana fabryka przerobów futrzanych C. Debus (w Markranstaedt, pod Lipskiem) w jednym roku (1902) sprawiła i przerobiła 1,068,911 — skór piżmowców, 16,800— bobrów, 120,792—skunksów, 270,141 — amerykańskich „opossum“, 13,000 wydr, 21,748 — lisów bia-

łych, błękitnych i srebrzystych, 83,803 — szopów, 3,500—gronostajów, a nadto całe masy skór niedźwiedzi i rysiów—razem przeszło 2,300,000 sztuk. To tylko jedno przedsiębiorstwo!

Łatwo więc sobie wyobrazić, ile dobytku skutkiem braku przedsiębiorczości, przepada bezpowrotnie zagranicą.

A. Ostromęcki.

Listy do „Łowca Polskiego".

Hołownica (gub. wołyńska), *w marcu.*

Chciałbym się z czytelnikami „Łowca Polskiego" podzielić bardzo ciekawem zdarzeniem, które przed paru tygodniami przytrafiło się na Wołyniu, w majątku mego brata. Dwu ludzi, przejeżdżających przez las, było zdziwionych niezwykłym szumem, wychodzącym z pobliskiej gęstwiny. Po podejściu w stronę owego szumu, spostrzegli oni dwa, zawzięcie czubiące się głuszce, tak zapamiętałe w swej walce, że zupełnie na podchodzących nie zwracały z początku uwagi; dopiero, gdy do nich zupełnie blizko podeszli, rozbiegły się trochę i w najbliższych krzewach dzikiej azalii, niby się pochowały. Otóż, najciekawszem z całej tej sprawy nie jest sam fakt owej walki, która się często o tej porze już zdarza: ale dalszy ciąg tego: Dwaj ci ludzie, nie namyślając się wiele, poszli każdy na stronę rozpędzonych zapaśników i po chwili znaleźli, tak jednego, jak i drugiego, przyczajone w krzakach z rozdziawionemi dziobami, w stanie takiego zmęczenia i apatyi, że z łatwością dały się wziąć rękoma. Związane za skrzydła, przyniesiono tegoż dnia do mego brata, gdzie kilkanaście osób, bawiących wówczas u niego, z ciekawością i z niedowierzaniem z początku, przypatrywało się tym wspaniałym okazom starych głuszców. Przekonano się, po dokładnem obejrzeniu okazów, że oba nie były nigdzie od postrzału ranione, a musiały być rzeczywiście złapane. Brat mój kazał je natychmiast oswobodzić, aby mogły wrócić, skąd zostały wzięte, ale niestety, okazało się, iż ponieważ ci, którzy je złapali, za mocno im skrzydła związali, przeto biedne ptaki nie mogły przyjść do siebie i po kilku dniach, dla ujęcia im męczarni, musiano je zabić.

A. Z.

Z Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa.

Posiedzenie Wydziału Ochrony i Polowań, 17 kwietnia. Wydział upoważnił przewodniczącego, p. Wł. Słonczyńskiego, do otwarcia polowania na toki cietrzewi bezzwłocznie po otrzymaniu wiadomości z Osiecka o ustaleniu się toków. Tymczasem w lokalu Towarzystwa wywieszone zostało ogłoszenie, aby Członkowie, pragnący być na pierwszem polowaniu na tokach, zapisywali się w kancelaryi. Kandydaci losowani będą w przeddzień wyjazdu.

W ostatniej chwili dowiadujemy się, że toki otwarte zostały w dniu 29 kwietnia.

Posiedzenie Rady, 19 kwietnia. Administrator dóbr Stara Wieś (gub. warszawska), p. Gorczyński, zwrócił się do Rady z prośbą o powiększenie liczby stróżów przy miejscu ochronnem, ponieważ dotychczasowi stróże, wobec zwiększającego się kłusownictwa, nie mogą się opędzić złodziejom zwierzyny. Rada postanowiła uczynić zadość żądaniu i powiększyć liczbę stróżów o jednego.

Wykazy Myśliwskie.

W dobrach arcyksięcia Franciszka Ferdynanda austryackiego ubito na polowaniu i wytępiono w r. 1904 następującą liczbę zwierzyny.

Użytecznej: jeleni byków 267, łań 293, cieląt 126, gemz 87, danieli rogaczy 151, samic 121, cieląt 103, sarn rogaczów 432, kóz 372, zajęcy 6,850, królików 4,831, głuszców 45, cietrzewi 59, bażantów 2,457, kuropatw 7,252, dropi 1, jarząbków 8, przepiórek 33, dzikich gęsi 34, kaczek-krzyżówek 222, małych kaczek 26, łysek 31, słonek 7, bekasów 5, mew 1,159, różnych wodnych ptaków 26; razem użytecznych 24,998.

Drapieżników: wydr 2, lisów 203, borsuków 30, kun 35, tchórzy 306, łasic 1,029, świszczków 999, psów 281, kotów 557, jeży 589, wiewiórek 8183, orłów 1, sępów i myszołowów 39, jastrzębi 56, sokołów i krogulców 293, czapli 10, sów 202, dębosieków 738, wron i srok 2,867, dzierzb 621; razem drapieżnych 17,041, czyli wszystko razem sztuk 42,039.

Drobiazgi myśliwskie.

Niezwykłe odbicie kuli. Wielką sensacyę w okolicach Nieszawy wywołał wypadek w majątku Sierzchowo. Właściciel tego majątku, p. B., człowiek znany ze spokojnego i taktownego obejścia, strzelił z rewolweru do swego rządcy. Kula trafiła w dwa zęby górnej szczęki, ale utraciwszy impet, wypadła z ust i nie zrządziła większej krzywdy.

Przeróbka naboi. Kaliber 16 w Austryi, w okolicach Dunaju, jest w użyciu prawie wyłącznie, rzadko kiedy używa kto kalibru 12. Z tego powodu trudno albo i niepodobna zaopatrzyć się w naboje, gdy komu zabraknie tego kalibru. Na jednem z ostatnich polowań zdarzył się też wypadek następujący. Jednemu z uczestników polowania, który wyjątkowo tego dnia miał tylko 12 kaliber, wcześnie wyszły wszystkie naboje. Co tu robić? Zajęcy było mnóstwo i jeszcze kilka kotłów czekało kolei. Myśliwy wpadł na pomysł zbawienny, który zaraz wprowadził w czyn. Pomysłowy strzelec odciął ze szczęśliwie zachowanych gilz kal. 12 kociołek, wsunął pożyczony nabój kalibru 16 do pustej gilzy tekturowej i zaryzykował wystrzał do przebiegającego zająca. Kot przewrócił się, ku uciesze przypatrujących się sąsiadów. I w ten sposób udało mu się jeszcze więcej zajęcy ubić, dzięki swej genialnej idei. *Probatum est!*

Plaga wilków. Często dochodzą wiadomości, że w Krainie, w okręgu Karst, zauważono zjawienie się wilków. W rewirze leśnym Maszuna przy Adelsbergu ubito niedawno czteroletnią wilczycę. W dobrach książęcych Szenburg, gdzie się odbywa hodowla niedźwiedzi, jak również w leżących w pobliżu rewirach niedźwiedzich księcia Windischgratza, od dłuższego czasu zauważono wagę kilku wilków. Mieszkańcy okoliczni, jako zawzięci przeciwnicy hodowli niedźwiedzi, mają w dodatku ku swemu zmartwieniu jeszcze jednego nieprzyjaciela swej zwierzyny użytkowej i zamierzają w jakiś stanowczy sposób wytępić tę zgraję drapieżników, przyczem spodziewają się otrzymać sporą nagrodę państwową, wynoszącą za niedźwiedzia 30 guldenów, a za wilka 20 guldenów.

Czarny zając. Rejent Brau w Roding ubił niedawno zupełnie czarnego zająca polnego, którego spreparował w swym zakładzie w Monachium, N. Henseler.

Wiek dzikiej gęsi i dzikiej kaczki—jak pisze „Weidman"—można odrazu poznać napewno w bardzo zwyczajny sposób. Na zewnętrznej stronie skrzydeł, bar-

dzo blizko dużych lotek, znajdują się dwa małe, twarde piórka, szczególnie mocno siedzące, wązkie, zakończone cienkim szpicem. Na większem z nich pokazuje się po upływie pierwszego roku małe wyżłobienie, które wygląda, jak gdyby pióro ukarbowane było trójkanciastym pilnikiem. Po upływie każdego następnego roku pióro pogrubia się i powstaje nowa rynka prostopadle do pierwszej. Można liczyć z pewnością, że ile rynek wykazuje pióro, tyle lat ma dzika gęś lub kaczka, z czego każdy może napewno wnioskować.

Cztery jelenie na jednem stanowisku Z Orb (Niemcy zachodnie) donoszą, że w zeszłym miesiącu udało się doktorowi Schmidtowi z Frankfurtu nad Menem, ubić w Orbskim lesie miejskim na jednem stanowisku w przeciągu kilku minut cztery jelenie z silnie rozwiniętemi rogami; jeden z nich był dwunastak, dwa dziesiątaki i jeden ósmak. Polowania orbskie na jelenie są najlepsze w Niemczech zachodnich.

Schwytanie kuny-albinosa. W pobliżu fabryki prochu Ingolstadt schwytano w końcu stycznia r. bież. w pułapkę kunę-albinosa. Zwierzę jest zupełnie białe, bez żadnych znaków, długość jego wynosi 70 ctm. razem z ogonem, który jest bardzo gęsty, jak u kotów angorskich, i mierzy sam około 25 ctm. Tęczówka przypomina różową fluorescencyę. Albinosa umieszczono tymczasowo w klatce; przyjmuje on surowe mięso, chleb i owoce, w dzień zagrzebuje się w słomę, a z zapadaniem zmroku staje się bardzo ożywionym; jest bardzo zły, gryzie wszystko, co się wtyka do klatki, i przed psem staje z syczeniem, wyszczerzając zęby. O ile sądzić można po wielkości zwierzęcia, jest ono albinosem z gatunku kun szlachetnych.

Niebywała celność. Amerykańska gazeta „Shooting and Fishing" donosi, że na wystawie wszechświatowej w St. Louis p. Adolf Tapperweins wobec znacznej liczby widzów, z automatycznej flinty Winchestera 5,5 mm. gruchotał krążki asfaltowe 64 mm. średnicy, które rzucano w górę na odległości 8 mm. od strzelca. Gdy nadchodząca noc położyła kres strzelaniu, p. T. wystrzelił kulami (nie śrótem) 3,507 tych fruwających krążków asfaltowych, nie pudłując ani jednego. Strzelał na przemian z dwóch sztucerków, które podczas tych ćwiczeń nie były czyszczone ani razu; jest to dowód doskonałego gatunku tych naboi z prochem bezdymnym i z nietłuszczonym pociskiem nowej konstrukcyi. Naturalnie, że takie, w każdym razie niebywałe ćwiczenie, jest także dowodem zadziwiającej energii strzelca, gdyż według zdania najznakomitszych strzelców zawodowych, wymaga to niesłychanie dużo trudu i wytrwałości, ażeby pobić rekord na ostatnie 10 procent między 90 a 100 procentem trafionych sztuk. Osiągnięcie bowiem 80 procent jest właściwie tylko zabawką dziecinną dla dobrych strzelców. Ale to dotyczy jedynie seryi jakich 100 strzałów, natomiast 3,507 strzałów w przeciągu jednego dnia, chociażby nawet kalibrem 5,5 mm., to ćwiczenie, które graniczy z niepodobieństwem, mimo że jest zupełną prawdą, urzędownie stwierdzoną.

Otwieranie obu oczu przy celowaniu. Angielskie ministeryum wojny, jak piszą gazety londyńskie, zastanawia się nad wnioskiem, podług którego, powinno się mieć podczas celowania otwarte oba oczy. Projekt ten powstał na zasadzie faktu, że oddalone przedmioty lepiej się widzi, gdy oba oczy są otwarte, niż przy jednym tylko. Trudności, jakie się stąd wywiązują przy strzelaniu, usuwa się takim sposobem, że mała blaszka, zwana *shooting director*, uniemożliwia lewemu oku spostrzeżenie celu na broni, tak, że prawe oko samo ma na jednej linii wizyer, muszkę i cel, przez co, wskutek użycia obydwu oczu, można cel poznać wyraźniej.

Wyprawa myśliwsko-naukowa do Dalmacyi. Wyprawa, która doszła do skutku, dzięki staraniom ks. Filipa Koburskiego, udała się d. 12 marca r. b. z Wiednia przez Tryest do Dalmacyi, ażeby tam na wyspach Curzola, Lesina i Giuppana, oraz na półwyspie Sabbioncelo, wyszukać i sprawdzić obecność szakali. Przewodnikiem wyprawy jest autor myśliwski, Kamillo Morgan, zarządzający potrzebami wyprawy jest oficer Rudolf Knoerlein, ilustratorem mającej się wydać książki o wyprawie, jest Leopold Schanz. Namiętny myśliwy na szakale, książę Odescalchi, wyjechał już na kilka tygodni przed wyprawą na Curzolę.

Czwarty międzynarodowy kongres ornitologów odbędzie się podczas Zielonych Świątek w Londynie i zapowiada się wspaniale, gdyż nietylko uniwersytet berliński, lecz i British Museum udzieli mu poparcia i dostarczy ciekawych materyałów. Prezesem i patronem wystawy będzie ks. Walii, prezesami honorowymi: ks. Ferdynand bułgarski i słynny senior angielskich zoologów, Alfred Russel Wallace. Przewodniczyć kongresowi będzie dr. Sharpe, dyrektor oddziału ptaków w londyńskiem muzeum przyrodniczem i autor przeważnej liczby, 27 tomów, stanowiących momumentalny katalog muzeum brytańskiego. Kongres obejmie następujące sekcye: systematyczną ornitologię, dział geograficzny, anatomię i paleontologię ptaków, wędrówkę ptaków, biologię ptaków, sztukę budowania gniazd, ochronę ptaków, hodowlę ptaków. Uczestnicy kongresu będą mieli sposobność zwiedzić wspaniałe zbiory ornitologiczne Waltera Rotschilda.

Niezwykłe trofea damskie. Księżniczka Titi-Metternich-Winneburg, córka księcia Pawła i księżnej Melanii hrabianki Zichy, która zdawna już jest znana, jako świetnie strzelająca kulami, w austryackich kołach myśliwskich, — miała w sezonie łowieckim 1904 niezwykłe powodzenie myśliwskie. W rewirach bowiem książęcych Metternichów w Czechach miała na rozkładach 50 kozłów. Księżniczka posiada jednolufową, małokalibrową strzelbę bez lunety, mimo to ubiła z niej niedjednego kozła na odległość 180 do 200 kroków.

Suka, karmiąca lwiki. Przysłowie mówi, że matka powinna „jak lwica" bronić potomstwa swojego. Doświadczenie wskazuje, że lwica nie zawsze bywa taką matką wzorową, a zwłaszcza trzymane w ogrodach zoologicznych, królowe zwierząt nie posiadają wcale przymiotów macierzyńskich. W ogrodzie zoologicznym w Lipsku nie można się było od wielu lat dochować potomstwa, lwica bowiem odrazu po przyjściu na świat dusiła małe lwiątka. Zarząd wpadł przeto na pomysł odłączenia lwiątek od matki i spróbowania, czy zwierzęta te nie przyjęłyby pokarmu psiego. Wybrana w tym celu suka dalmatyńska okazała się wyborną mamką. Około klatki, w której odbywa się proces karmienia lwiątek, gromadzą się też codziennie tłumy ciekawych widzów.

Za dręczenie psa. Za znęcanie się nad psem surową karę otrzymał kupiec, Hannen, z Dyseldorfu. W początkach grudnia oćwiczył on psa swego, a następnie wtłoczył go przez okratowanie klatki w ogrodzie zoologicznym, w której znajdował się niedźwiedź. Tenże, rozdarłszy natychmiast psa, pożarł go. Za to znęcanie się nad niewinnem stworzeniem, nałożyła policya na Hannena 30 marek kary, której jednak nie zapłacił, i udał się na drogę sądową. Tu go wszakże spotkał srogi zawód, bo sąd ławniczy skazał go na sześć tygodni aresztu, a sędziowie wyrazili żal, iż podsądnego surowiej ukarać nie mogą.

Pieczyste z nosorożca. Niedawno odbył się w hotelu nowojorskim Waldorf-Astoria doroczny bankiet członków klubu kanadyjskiego (*Canadian Club*), do którego należą przeważnie amatorowie myślistwa. Na główne danie podano... upieczonego nosorożca. Niezwykłe to danie, ważące 1,500 funtów, wjechało do sali śród fanfary trąb i rogów myśliwskich, na wagoniku, przybranym kwiatami i popychanym przez kucharzy w ubraniach białych. Około tysiąca gości, zebranych na bankiecie, zabrało się energicznie do pieczeni, rychło jednak porzucili noże i widelce, nosorożec bowiem smakował, jak guma, aczkolwiek, dzięki sztuce kucharskiej, wyglądał bardzo apetycznie. Zwie-

rza tego miał dostarczyć klubowi ks. Henryk pruski, który będąc przed kilku laty gościem klubu, obiecał jego członkom, że gdyby potrzebowali dania niezwykłego, to on im go dostarczy. Nosorożec wychował się w berlińskim ogrodzie zoologicznym. Zabity na tę uroczystość przywędrował do Nowego Jorku w stanie zamrożonym. Śród innych dań *menu* bankietu zawierało jeszcze zupę z szopów, potrawkę z pumy i t. d.

Pies Edwarda VII. O ulubionym psie króla Edwarda rozpisuje się cała prasa francuska. Reporterowie wtargnęli do wagonu salonowego monarchy na dworcu liońskim w Paryżu i jeden przed drugim zawodzi hymny pochwalne na cześć owego *„king's pet"*. „Matin" dołącza fotografię psa, zdjętą momentalnie w chwili, gdy go wyprowadzają na platformę. Historyografowie nie mogą się jednak zgodzić na jedno co do rasy pieska; jedni dowodzą, że jest pinczerem, inni że fox-terrierem. A jednak tak łatwo odróżnić te rasy.

Pies Stanley'a. Znakomity podróżnik Stanley w dziele swem „Z głębi Afryki" opowiada fakt następujący: „Mały mój jamnik *Randy* znakomicie wytrzymał trudy dwukrotnej mojej wyprawy do Albert-Nyanza i w chwilach krytycznych oddał nam nieocenione usługi. Nie pozwalał nikomu zbliżać się do mnie bez uprzedniego zameldowania. Gdy przedsiębrałem ponowną wyprawę, pozostawiłem wiernego psa w Fort-Bodo na opiece zaufanego chorążego Stairs'a, a to dlatego, żeby psu oszczędzić trudów długiej podróży. Ale biedny mój *Randy* źle zrozumiał moją intencyę i od chwili, gdy go opuściłem, nie chciał przyjmować żadnego pokarmu i na trzeci dzień po moim wyjeździe padł na paraliż serca".

Na targu. — Co, ten kurczak kosztuje rubla? A cóż kosztuje jajo?

— Trzy kopiejki.

— Więc za trochę siedzenia na niem żądacie 97 kopiejek.

* * *

Na polowaniu. — Słuchaj! czemu twój pies tak uparcie mnie obwąchuje?

— A no! jesteś przecież dziennikarzem, — czuje kaczki.

Treść Nr. 9 „Łowca Polskiego".

Prenumerata **„Łowca Polskiego"** wynosi:

W Warszawie: rocznie 6 rub., półrocznie 3 rub., kwartalnie rub. 1 50 kop. (z odnoszeniem do domu).

Z przesyłką pocztową: rocznie 7 rub., półrocznie 3 rub. 50 kop. kwartalnie 1 rub. 75 kop.

Zagranicą: rocznie 10 guld., albo 10 marek, albo 20 franków; półrocznie 5 guld., albo 8 marek, albo 10 franków.

Pojedynczy numer „ŁOWCA POLSKIEGO" 30 kop.

Ogłoszenia za wiersz drobnego pisma (petitu) lub jego miejsce 10 kop.

„ŁOWCA POLSKIEGO" prenumerować można: w Kantorze Administracyi „ŁOWCA POLSKIEGO" Warecka 15, w Kancelaryi Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa, Nowy-Świat 35, oraz we wszystkich księgarniach w Warszawie i na prowincyi.

Listy do „Łowca Polskiego" adresować należy:
Smolna 34, w Warszawie.

Дозволено Цензурою. Варшава, 14 Апрѣля 1905 г.

Redaktor i wydawca Jan Sztolcman.

Druk Piotra Laskauera i Sp. Warszawa, Nowy-Świat 41.